

BLOG

Olaf Osica Koniec dobrej pogody

Lipiec 2009

Kryzys dotyka już nie tylko polskiej ekonomii, lecz także polityki zagranicznej: brutalnie ujawnia realną pozycję Polski w świecie. Tymczasem nasi politycy popadają w coraz większy infantyizm.

Kryzys w Europie i w USA rozpatrywany jest ostatnio w Polsce przede wszystkim w kontekście euro: przyjęcie wspólnej waluty staje się dziś kwestią nie tylko poprawy konkurencyjności polskiej gospodarki, lecz też dokończenia integracji z Unią Europejską. Tymczasem globalne załamanie gospodarcze dotyka także problemów polityki zagranicznej: „niewidzialna ręka” światowego rynku pokazuje nam, że po 20 latach starań Polska wróciła wprawdzie do Zachodu, ale wciąż pozostaje na jego politycznych peryferiach.

Kryzys: chwila prawdy

O znaczeniu tego faktu przekonaliśmy się ostatnio dwukrotnie. Za pierwszym razem, kiedy ominęła nas pierwsza fala kryzysu – gdyż polskie instytucje finansowe nie brały udziału w globalnym handlu toksycznymi obligacjami, które niemal zniszczyły zachodnie centra finansowe. Drugi raz był już mniej przyjemny i wiązał się z wrzuceniem Polski do jednego „worka” ze wszystkimi państwami regionu – choć obiektywne wskaźniki sytuowały polską gospodarkę i jej system bankowy na poziomie średniej europejskiej.

Wbrew dobremu (jeszcze) zdrowiu musimy zatem zabiegać, by ratujący się nasi partnerzy nie wyrzucili nas za burtę okrętu „Europa”, zwiększając szansę na przeżycie swoich gospodarek. Na własnej skórze przekonujemy się, że integracja europejska jest kwestią polityki – ujętej w ramy prawne i instytucjonalne – nie zaś sprawą prawa i instytucji, stojących ponad polityką. W sytuacjach kryzysowych słabi ponoszą zatem relatywnie większe koszty.

Zbierane na gorąco doświadczenia przypominają, że budowa nowoczesnego państwa w Polsce zakończyła się, zanim nabrała praktycznego wymiaru. Wywołana sporem o „Niceę” i „Irak” dyskusja o nowej polityce zagranicznej (tej akcentującej własną tożsamość) była hitem jednego sezonu. Realna pozycja Polski – realna, czyli mierzona zdolnością kształtowania zachowań partnerów i instytucji – pozostaje słaba.

Pojedyncze sukcesy i próby wybicia się na podmiotowość nie przekładają się na żaden spójny plan. Głównym katalizatorem działań jest lęk przed blamażem, przerywany przeblyskami przytomności. Towarzysząca mu kampania medialna przypomina „pospolite ruszenie” struktur państwowych: mobilizuje je do wysiłku, który nie jest im dany i znany na co dzień. Nasze bitwy – owe „zwycięskie remisy” w sprawie „Lizbony”, pakietu klimatycznego czy tarczy antyrakietowej – nie dowodzą siły państwa, lecz jego słabości.

Nawet gdy pojawia się atrakcyjna idea, łącząca dobro wspólne Europy i sojuszników z własnym interesem, nie potrafimy nadać jej realnego kształtu, poprzestając na zadowoleniu z mocy własnych argumentów. Przykładem idea „solidarności” – tej energetycznej i tej sojuszniczej. Miała być narzędziem budowania politycznej zgody i angażowania Unii i NATO w problemy naszego

sąsiedztwa. Tymczasem po kilku latach jej promowania stała się chwytem, po który sięga się, by markować działania, skrywać prawdziwe różnice i uspokajać przewrażliwionych mieszkańców „nowej Europy”. Podobnym przykładem jest polityka historyczna: miała stać się moralnym orężem polskiej dyplomacji w relacjach z Niemcami, a kończy jako cel sam w sobie, zastępujący jakiegokolwiek działanie polityczne względem Niemiec.

Polityczno-historyczny infantyizm

Niezdolność do utrzymania kontroli nad własnymi projektami wynika głównie z dwóch powodów. Po pierwsze, polityka zagraniczna stała się ponad miarę zakładnikiem polityki wewnętrznej. Od kilku lat zgłaszanie inicjatyw na forum międzynarodowym służy głównie budowaniu poparcia w polityce krajowej, a nie tworzeniu siły państwa na zewnątrz. Liczą się chwytliwe slogany, a nie rozpisany na lata proces wchodzenia w projekty międzynarodowe.

Drugim powodem jest polityczny infantyizm. Mimo niepokojących sygnałów napływających z otoczenia międzynarodowego (a także wbrew własnym deklaracjom!), cała polska klasa polityczna żyje w przekonaniu, że „historia” skończyła się, a wraz z nią nastąpił koniec „polityki”. Wszystko sprowadza się zatem do retoryki. Kto narzuca tematy i kontroluje dyskurs (tj. media), ten wygrywa. Materialna strona polityki – przetwarzanie idei w instytucje, infrastrukturę, zespoły badawcze lub nowe zdolności – traktowana jest po macoszemu.

Tymczasem koniunktura dla Polski dobiega końca. Mierzenie sukcesu zdolnością wykorzystania sprzyjającego klimatu należy do przeszłości. Dziś sukcesem jest oparcie się negatywnym trendom i zdolność kształtowania nowej rzeczywistości. Rzut oka na polityczną mapę Europy nie pozostawia wątpliwości, że nadchodzą czasy ciekawe, ale i trudne.

Kryzys polityczny Unii ma charakter strukturalny, czyli dotyka samej idei integracji gospodarczej i politycznej. Także NATO coraz bardziej zbliża się do momentu, w którym proste działania – więcej wojska, lepsza strategia itd. – nie starczą dla ocalenia substancji Sojuszu. Sama Europa staje się zaś dla USA sojusznikiem z wyboru, a nie konieczności. Oznacza to całkowitą marginalizację naszego regionu w polityce USA. Po eksperymencie demokratycznym Rosja oblewa także egzamin z budowy mocarstwa. Jednak, wbrew pozorom, nie rozwiązuje to problemu, a może nawet zwiększa nasz deficyt bezpieczeństwa. Ukraina z kolei zapada się pod własnym ciężarem, stając się najsłabszym ogniwem regionu.

Czas pesymistów, czas realistów

Koncentracja na załamaniu gospodarczym nie zostawia rządów dużo miejsca na analizę polityczną. Ale to właśnie sposób odpowiedzi na kryzys przesądzi o kształcie otoczenia międzynarodowego, wskaże nowe cele i reguły gry.

Pesymiści (czyli dobrze poinformowani optymiści) skłonni są wierzyć w koniec wszystkiego, co dawało Zachodowi poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Globalizację zastąpi deglobalizacja, integrację fragmentaryzacja, a wspólnoty polityczne zostaną zredukowane do luźnych związków państw narodowych. Optymiści (czyli niepoprawni idealisci) sądzą, że jest to jedynie korekta kursu, który pozwoli na działanie lepsze, bo pozbawione niebezpiecznych złudzeń. Wspólnym mianownikiem tych postaw jest przekonanie, że obecne problemy zmuszają do przemyślenia założeń, na których budujemy przyszłość. Realizm jest dziś przejawem odpowiedzialności, a nie sceptycyzmu.

W jednej z najciekawszych analiz wpływu kryzysu gospodarczego na kształt polityki międzynarodowej Henry Kissinger przekonuje, że źródłem obecnej sytuacji jest istnienie globalnych instytucji finansowych, które nie mają swych politycznych odpowiedników. Gdy społeczeństwa dotknięte kryzysem zwróciły się o pomoc do rządów, te musiały reagować na bazie narodowej. Albo więc powstanie prawdziwy i skuteczny globalny system instytucji politycznych (ONZ nie spełnia tej roli), amortyzujący działania świata finansów, albo zapanuje chaos: powrót do tradycyjnych form

dyplomacji i merkantylizmu w stylu XIX w. W rezultacie – uważa Kissinger – świat „podzieli się na konkurujące ze sobą jednostki regionalne, prowadząc do niebezpiecznych długofalowych konsekwencji”.

Dla Polski wariant pesymistyczny oznaczałby głęboką fragmentaryzację Unii i poważne zakłócenia, a być może stopniowy zanik elementów wspólnego rynku. Pozbawione amerykańskiego zainteresowania, NATO pogrążyłoby się w letargu – dając powód do konstruowania sojuszy na bazie narodowej. Rosja stałaby się wtedy filarem bezpieczeństwa na wschodnich peryferiach Europy. Zachowując formalną suwerenność, Polska będzie ponownie wypychana do „szarej strefy” bezpieczeństwa, broniąc się przed utratą politycznej tożsamości.

Ale także wariant optymistyczny niesie problemy. Polska nie jest przygotowana do powstania globalnych instytucji politycznych na bazie NATO, „G-ileśtam” czy nawet Unii Europejskiej. Nie mamy zasobów, zdolności ani priorytetów, które pozwoliłyby nam zachować w tak skonstruowanym systemie nawet niewielką podmiotowość. W świecie budowanym przez globalne instytucje peryferyjność krajów takich jak Polska nabierze nie tylko trwałych cech politycznych, ale zyska wymiar instytucjonalny. Pozostaniemy poza centrum decyzyjnym, tracąc zdolność do inicjowania zmian w Europie. Gospodarcze skutki tego procesu nie będą lepsze: staniemy się krajem montowni, centrów outsourcingowych i zdrowej żywności.

Rysowanie przyszłości w ciemnych barwach nie jest oznaką braku nadziei. Wynika z przekonania, że szykować się trzeba na problemy, bo sukcesy rzadko stają się źródłem kłopotów. W czasie kryzysu nie chodzi przecież tylko o to, aby go przetrwać, lecz żeby go wykorzystać dla zmian, które w okresie prosperity uchodzą za niepopularne. Założenia polskiej polityki zagranicznej potrzebują zatem swego rodzaju audytu, a nie przekonywania, że jesteśmy ważni, bo bierzemy udział w poważnej grze.

Na tle polskiej historii miejsce na peryferiach systemu zachodniego może nadal wydawać się sukcesem. Ale w ten sposób obniżamy ambicje do poziomu, w którym nic nie może być uznane za porażkę.

Olaf Osica, jest politologiem, analitykiem Centrum Europejskiego Natolin w Warszawie. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” 11.03.2009